

Martin Colloms – wydawca magazynu „HIFICRITIC”

Martin Colloms jest jedną z ciekawszych figur świata audio. Współzałożyciel firmy głośnikowej Monitor Audio, wieloletni współpracownik pism „Hi-Fi News”, „Hi-Fi for Pleasure”, „Hi-Fi Choice”, „Stereophile”, „Hi-Fi Plus” teraz występuje w roli wydawcy, wydawcy magazynu „HIFICRITIC”.

Kontakt: Martin Colloms PO BOX 59214 LONDON, NW3 9EZ UK

Strona internetowa: www.colloms.com

Tekst: Wojciech Pacuła | Martin Colloms | Paul Messenger

Zdjęcia: „HIFICRITIC” (1, 2) | Wojciech Pacuła

Tłumaczenie: Wojciech Pacuła

Data publikacji: 1. marca 2012, No. 95

HIFICRITIC

Znam Martina Collomsa z dwóch dziedzin – jako redaktora magazynów audio, ale również jako autora jednej z podstawowych książek poświęconych budowie kolumn głośnikowych, *High Performance Loudspeakers*. Być może okaże się jednak, że w równie mocny sposób na jego biografii zaważy jego obecne zajęcie – od stycznia 2007 roku jest bowiem znany także jako wydawca magazynu „HIFICRITIC”. Pismo, początkowo wydawane jako dwumiesięcznik, teraz jako kwartalnik, jest dość niezwykle – zawiera wyłącznie opinie, testy, recenzje i żadnej reklamy. Próby tego typu były już niegdyś podejmowane, ale zwykle kończyły się kląpą. Znacząca część kosztów utrzymania klasycznego pisma przypada bowiem na reklamodawców; koszt zakupu magazynu nie pokrywa nawet połowy kosztów jego druku! O dystrybucji, zwrotach, produkcji itp. nie wspominając.

Najwyraźniej jednak była na rynku jakaś potrzeba, nisza, w którą Colloms, wraz z wybranym przez siebie redaktorem naczelnym, Paulem Messengerem, się wstrześli i – tak to wygląda – odniósł sukces. To nigdy nie będzie duże, jeśli chodzi o wielkość sprzedaży, pismo. Martin mówi, że obecnie sprzedaje 2000 egzemplarzy i to niemal wyłącznie w prenumeracie. Bardzo duża jest jednak jego „waga” jako ośrodka opiniotwórczego, nieproporcjonalnie duża jak na dość – ostatecznie – skromny, nakład.

Mam oczywiście kilka wątpliwości związanych z takim podejściem, a wśród nich najważniejsze można streścić w pytaniu: „Czy ogłaszanie wszem i wobec, że prowadzi się pismo bez reklam po to, aby nie mieć żadnych nacisków ze strony reklamodawców, po to, by pisać testy bez „cenzury”, pisząc jednocześnie do klasycznych pism, z reklamami, a więc i domniemaną „cenzurą” nie jest aby hipokryzją?” Ocenę pozostawiam czytelnikom. Niezależnie jednak od osobistej oceny każdego z nas Martin Colloms jest KIMŚ i pozostanie w świecie audio jako jedna z jaśniejszych jego gwiazd, która wielokrotnie wpływała na jego rozwój. Żeby wprowadzić czytelników „High Fidelity” do właściwej rozmowy, poprosiłem o opowiedzenie o sobie zarówno Martina Collomsa, jak i Paula Messengera.

Martin Colloms o sobie:

„Odkąd sięgam pamięcią, moja obsesja dotycząca reprodukcji dźwięku była ściśle powiązana z fascynacją tajemnicami transmisji bezprzewodowej. Jak, do cholery, dźwięk mógł się wydobywać ze słuchawki podłączonej do cewki i kryształka, a także do długiego kabla, dochodząc ze stacji

radiowej w Rosji, i to bez żadnego widocznego źródła zasilania? Czysta magia... Czułem wewnętrzny przymus każący mi dowiedzieć się, jak to działa.

Tak, bazując na próbach i wyobraźni rozpoczęła się moja przygoda z tym hobby – budowałem wzmacniacze lampowe, bazując na artykułach z „Practical Wireless”, korzystając z suchych baterii B136, dających 90 V na anodę i 1,5 V do (bezpośredniego) żarzenia. Pod koniec lat 50. zbudowałem też wiele odbiorników radiowych w oparciu o najstarszy typ tranzystorów – prymitywne tranzystory germanowe o wąskim paśmie przenoszenia; kosztowały – jak na dzisiejsze pieniądze – 15 funtów za sztukę, podczas kiedy dzisiaj szerokopasmowe tranzystory krzemowe kosztują 5 pensów! Jak by nie było, te maleńkie elementy wzmacniające pracowały z niewiarygodnie niskim napięciem 3 V i wydawały się ziszczonym snem o miniaturyzacji, przynajmniej w porównaniu z lampami. Mając siedem lat odtwarzałem szelakowe płyty 78 rpm popychając je ołówkiem i przykładając do nich zwiniętą z papieru tubę z krawiecką igłą na końcu. Tak po raz pierwszy usłyszałem *Grand March* z *Aidy*, w kawałkach po 2 minuty każdy. Wtedy też uzależniłem się od gramofonu.

Po kilku straconych latach flirtu z wydziałem Special Physics na LU udało mi się wreszcie skończyć Polytechnic Regent Street (teraz – Westminster University) na wydziale Electrical Engineering and Electronics, ale dopiero po długim okresie praktyki jako tester produktów i asystent sprzedawcy w pionierskim sklepie audio Audio T (podziękowania należą się jego założycielowi Johnowi Bartettowi) – wszystko to w czasie kilku ostatnich lat mojego pobytu na uczelni. Następnich kilka lat spędziłem na badaniach nad komunikacją bezprzewodową (wysokich częstotliwości), nad zaawansowanymi systemami przesyłania tekstu, a potem nad 1 GHz oscyloskopem dla pododdziału firmy Tektronix, pielęgnując obsesję na tle hobby związanego z high fidelity.

I wtedy, w 1972 roku, pojawiła się możliwość założenia z dwoma współnikami firmy produkującej kolumny głośnikowe – firmy o nazwie Monitor Audio Ltd, co okazało się twórcze dla ukształtowania mojego doświadczenia w biznesie. Po trzech lat szefowania wydziałowi technicznemu i projektów rozstałem się z firmą, pozostawiając w niej dwóch współników – Mike’a Beeny’ego i Mo Iqbalę. Zająłem się wówczas pracą w roli niezależnego dziennikarza hi-fi, koncentrując się na pisaniu o audio i na recenzjach sprzętu.

Moje doświadczenie w projektowaniu kolumn dla Monitor Audio pozwoliło mi napisać książkę *High Performance Loudspeakers* o projektowaniu kolumn głośnikowych. Książka po raz pierwszy została wydana w 1977 roku i jest wznawiana do dzisiaj – najnowsze wydanie jest szóste z kolei. Intensywnie pisałem dla niemal wszystkich największych czasopism w UK, ale najwięcej wysiłku włożyłem we współpracę z „Hi-Fi News” (33 lata), a także „Hi-Fi for Pleasure” oraz „Hi-Fi Choice”, wtedy wydawanego jeszcze w formacie A5 – a nie można też zapominać o „Stereophile’u”. Jakiś czas temu do przeprowadzenia serii niezwykle wymagających, wnikliwych i długich testów zachęcił mnie Roy Gregory z „Hi-Fi Plus”.

Wciąż jestem zachwycony, bywam zaskakiwany i zaintrygowany wpływem na dźwięk różnych technologii i tym, jak plastik, metal, papier i drewno, lampy i tranzystory w ręku „czujnego”, utalentowanego konstruktora audio mogą pozytywnie wpłynąć na jakość reproduktowanego dźwięku. Możliwość odtwarzania muzyki w domu jest przywilejem, możliwość usłyszenia czegoś więcej w muzyce, w produkcji, nie zapominając o samych muzykach powoduje, że systemom audio poświęcam tak wiele czasu i wysiłku.

Znam Paula Messengera od lat, pracowałem z nim w „Hi-Fi News”, a także wtedy, kiedy został redaktorem naczelnym „Hi-Fi Choice”. Od lat chciałem znów z nim pracować. Ostatecznie zaakceptował moje zaproszenie do redagowania nowego, niezależnego magazynu audio. [„HIFICRITIC”](#) narodził się w styczniu 2007 roku, trochę nas zaskakując, ale i dając mnóstwo radochy.”

Paul Messenger, redaktor naczelny “HIFICRITIC” mówi o sobie tak:

„Podejrzewam, że urodziłem się w świecie hi-fi... Chociaż moi rodzice nie przejawiali specjalnego zainteresowania zarejestrowaną muzyką, ani też muzyką graną na żywo, mieliśmy w domu fortepian, a znana i uznana ciocia uczyła gry na tym instrumencie, grała też na organach w

lokalnym kościele. Jak szybko jednak odkryłem, nie odziedziczyłem genów, które mogłyby mi pozwolić grać na jakimkolwiek tradycyjnym instrumencie. Zdecydowałem się więc grać na gramofonie.

Z punktu widzenia zarówno muzyki popularnej, jak i technologii konsumenckich rok 1949 był dobrym rokiem, żeby przyjść na ten świat. Moje dziecięce uszy i mózg odebrały wystarczającą dawkę rock'n'rolla i skiffle'a, żeby rozbudzić moje zainteresowanie, które szybko przekształciło się w pasję, kiedy w latach 60., jako nastolatek byłem świadkiem inwazji brytyjskich zespołów beatowych – oczywiście mowa o The Beatles, Stones, ale był to zaledwie czubek góry lodowej niesamowitych talentów, do których trzeba zaliczyć również Animals, Kinks i Yardbirds, żeby zatrzymać się na trzech najbardziej oczywistych przykładach.

Przez Hi-Fi zostałem zainfekowany w późnych latach 60. Po nieudanej próbie przerobienia gramofonu tak, żeby odtwarzał płyty w stereo, otrzymałem dobrze płatną sezonową pracę i większość tego, co zarobiłem wydałem na „prawdziwe” urządzenia hi-fi: na gramofon Thorensa TD135 i wzmacniacz Leak Stereo 30 (pierwsza pomyłka). Leaka wymieniłem na system Quada 33/303 i poszukiwałem odpowiednich głośników wśród, będących na mojej krótkiej liście, modeli takich jak: Acoustas Lowthera, czy Lancaster Tannoya.

Wtedy po raz pierwszy mi się poszczęściło. Mój przyjaciel z BBC pracował razem z Derekiem Hughesem, którego ojciec robił jakieś kolumny. Dałem im więc szansę. Nazywały się chyba Hughes, a ojcem kolegi był Spencer Hughes. Kolumny powstawały w jego garażu, po pracy i były to pierwsze wersje kolumn BC1, sprzedawane potem pod nazwą Spendor, do dziś uznawanych za klasyczne konstrukcje. Bez żadnych wątpliwości to właśnie BC1 zainspirowały i stymulowały mój entuzjazm do hi-fi, ale również wiele mnie nauczyły. Wczesne egzemplarze tych kolumn miały jednak problem z zawieszeniem przetworników i po jakimś czasie okazało się, że kolekcjonuję naprawione pary kolumn. Okazało się również, że Spendor planuje przenieść się z Redhill do Hailsham, całkiem niedaleko Brighton, gdzie mieszkałem.

Pod koniec koledżu, zamiast podjąć kiepsko płatną pracę jako asystent nauczyciela, pomyślałem więc, że znacznie bardziej interesujące będzie rozwijanie hobby i zajęcie się budową kolumn. Kolejny raz szczęście uśmiechnęło się do mnie kilka lat później, w połowie lat 70., kiedy moja żona zauważyła ogłoszenie z ofertą pracy – pracy w roli dziennikarza w „Hi-Fi News”. Zbiegiem okoliczności w tym samym czasie miał się w nim ukazać mój artykuł, który napisałem kilka lat wcześniej i to najprawdopodobniej pomogło mi dostać tę pracę i to od razu jako zastępcy redaktora naczelnego. Nawet to okazało się sporym zaskoczeniem, bo redaktor naczelny – legendarny John Crabbe – musiał przez następne pół roku pauzować, lecząc serce. Nieprawdopodobne i trochę śmieszne było to, że musiałem prowadzić największy magazyn hi-fi w kraju nie mając żadnego doświadczenia jako dziennikarz.

I ja, i magazyn jakoś to przetrwaliśmy. Co więcej, mając możliwość przesłuchania mnóstwa wszelkiego rodzaju interesujących produktów, bardzo szybko i dużo się nauczyłem. Wciąż mam świeżo w pamięci połączenie kolumn Quad Electrostatic (oryginalnych) i wzmacniacza Radford STA25 III, z którego przez dłuższy czas korzystałem. Połączenie to okazało się niestety niezbyt pasujące do muzyki reggae, której wówczas słuchałem...

Druga połowa lat 70. to były w brytyjskim hi-fi, jak to Chińczycy mogliby określić, „ciekawe czasy”. W reakcji na wysoką inflację z połowy lat 70. panikarski i naiwny rząd laburzystów otworzył drzwi dla japońskich korporacji, czym wymazał z mapy audio większą część rodzimego, brytyjskiego przemysłu hi-fi. Niektóre zniknęły (Armstrong, Lustraphone) inne zmieniły właściciela (Rogers, Tannoy, Cambridge Audio) i tylko kilka przetrwało ten czas w niemal niezmiętej formie (Quad, SME, KEF, B&W). Na szczęście świeżutkie firmy (Linn, Naim, Rega) były zbyt małe i wciąż zbyt energiczne, żeby w jakiś poważny sposób ten ruch je nadwyrężył; co więcej – firmy, które przetrwały stawały się silniejsze i silniejsze.

Brytyjskie firmy produkujące kolumny miały długą, międzynarodową historię, a ich sprzedaż za granicą wciąż była wysoka, dlatego też było im znacznie łatwiej przetrwać ten przewrót. Na szczęście pojawienie się nowych sił, do których wkrótce dołączyli inni, jak Meridian, Arcam, Creek

etc., z nowymi pomysłami dotyczącymi źródeł i wzmacniaczy, doprowadziło do odrodzenia się brytyjskiego hi-fi. To był prawdziwie przełomowy okres. Przed połową lat 70. brytyjskie, wiodące firmy hi-fi wychodziły z założenia, że ani gramofony, ani wzmacniacze nie mogą mieć znaczącego wpływu na jakość dźwięku całego systemu. Pomiary to potwierdzały i wierzono święcie, że jedynie kolumny są w stanie wnieść znaczącą różnicę.

Był to punkt widzenia, który nowe firmy – a także dziennikarze, w tym i ja – całkowicie odrzuciliśmy. Co więcej – właśnie w tym czasie pojawił się przeciwstawny koncept, najmocniej propagowany przez Linna i Naima, że najważniejsze w systemie jest źródło [jak gramofon – przyp. red.], potem wzmacniacz, a kolumny zrobią generalnie to, czego się od nich będzie wymagało. Była to niezwykle przekonująca teoria, tym bardziej, że popierały je robiące wrażenie pokazy. A reszta, jak to mówią, jest historią. Historia, odkrywającego się na nowo, brytyjskiego hi-fi.

Kolumny wciąż były istotne, bez wątpienia interesujące i wciąż to one pokazywały ilościowo największe zmiany w dźwięku, ale nie one dominowały w naszym postrzeganiu systemów hi-fi. Po kilku latach w „Hi-Fi News” zostałem redaktorem naczelnym w, wówczas nowym, magazynie „Hi-Fi Choice”. HFC wydawany był wówczas w „książkowym” formacie A5 i był poświęcony wyłącznie porównawczym testom, np. 50 rywalizującym ze sobą w danym momencie komponentom i było wydawane cztery lub pięć razy do roku. Ze względu na swój format HFC wyznaczał standardy w testowaniu urządzeń. Każdy projekt oznaczał sześć miesięcy pracy i wymuszał precyzyjne planowanie testów, ich zawartości i ścisłą współpracę z najlepszymi recenzentami w kraju. To była kolejna faza nauki, zarówno jeśli chodzi o techniczną stronę testów, jak i związaną z nimi politykę pisma. Skończyło się na tym, że osobiście redagowałem sekcję poświęconą testom wzmacniaczy, ponieważ żaden ze znanych recenzentów nie znał się na tym, tj. nie miał pojęcia o tym, jak wzmacniacz wpływa na dźwięk.

Po kilku latach w „Hi-Fi Choice” zostałem zwabiony na powrót do wydawnictwa Link House, gdzie zostałem redaktorem naczelnym całej grupy magazynów (Audio Group), w skład której wchodziły m.in. „Hi-Fi News” oraz „Studio Sound”. Mój szef z HFC (zdolny, znakomity Felix Dennis) ostrzegał mnie, że żaden ze mnie materiał na wydawcę – i miał co do tego rację. Poświęciłem kilka miesięcy zarządzaniu średniego szczebla, ale związane z tym problemy coraz bardziej mnie irytowały. Zdecydowałem się więc zostać wolnym strzelcem.

Rok czy dwa poza światem hi-fi w niczym mi nie zaszkodziły, tym bardziej, że w połowie lat 80. wszyscy byli strasznie podekscytowani formatem Compact Disc. Nauczyłem się wówczas, między innymi, sporo o wideo, szczególnie z perspektywy rynku pro, co okazało się później przydatne. Pod koniec lat 80. rozpoczęła się „gra o tron”, tj. walka o fotele redaktorów naczelnych. John Atkinson przeniósł się z „Hi-Fi News” do „Stereophile’a”, a Steve Harris zamienił „Hi-Fi Choice” na „Hi-Fi News”. Ja zaś wróciłem do „Hi-Fi Choice’a”.

To wciąż był niewielki magazyn w formacie A5, jednak czasy szybko się zmieniały. Pod koniec 1987 roku znalazłem się w Boeingu 747 lecąc do Tokyo po to, żeby zebrać produkty do pierwszego, wydanego na kredowym papierze, wydania miesięcznika (!) „Hi-Fi Choice” (z laptopem o pamięci 32 kB!). Chociaż bardzo podobało mi się to, że HFC stał się miesięcznikiem, wciąż pozostawałem wolnym strzelcem i nie byłem przygotowany na to, żeby jeździć do centrum Londynu, żeby nadzorować ludzi. Tak więc John Bamford wziął na siebie szefowanie i został redaktorem naczelnym, a ja zostałem pełnoetatowym dziennikarzem HFC, zajmując się przede wszystkim testowaniem głośników.

Wiele się od tamtego czasu wydarzyło. W 1990 roku pojawił się pierwszy Mac, zmieniając sposób, w jaki piszę (choć wciąż musiałem wysyłać kopie, teraz na miękkich dyskach, do redakcji; e-mail się jeszcze nie narodził). W tym samym czasie na scenę wkroczyło kino domowe (jak również dość toporne telefony komórkowe), tak więc przez większą część lat 90. recenzowałem też telewizory dla siostrzanego tytułu HFC – „Home Entertainment”. Kiedy pod koniec dekady pojawiły się plazmy, zostawiłem to, bo ich pierwsze egzemplarze były badziewne i kosmicznie

drogie; żaden magazyn nie chciał tego wydrukować!

Pod koniec stulecia straciłem całe zainteresowanie dla branży AV i sceny wielokanałowej. Nie byłem też jakoś specjalnie zachwycony muzyką dostępną na SACD i DVD-A. Dwukanałowe stereo wydawało się działać całkiem nieźle, nie wymagając zmian w otoczeniu, które nie są zbyt łatwe do zaakceptowania. I choć perspektywa cyfrowych plików z muzyką o większej niż CD rozdzielczości jest kusząca, w tym momencie ciężko przewidzieć jej komercyjny model biznesowy, który z sukcesem będzie dostarczał słuchaczom muzykę różną i różniastą.

Dlatego też przez całą ostatnią dekadę byłem po uszy zanurzony w stereo hi-fi i nie sędzę, żeby mi to w czymkolwiek przeszkadzało w pracy (a raczej wprost przeciwnie). „Hi-Fi Choice” wciąż zajmuje mi większość czasu, ale regularnie piszę też do „Stereophile’u”, „HiFi+” oraz „BAJ”. Prawdziwą ekscytację budzi we mnie jednak „HIFICRITIC”. Choć słuchanie i pisanie to bardzo satysfakcjonujące zajęcia, uwielbiałem również redagować teksty i zawartość czasopisma. Moja idealna praca to połączenie tych dwóch zajęć. Dlatego też Martin Colloms nie musiał mnie dwa razy prosić, kiedy zaczął opowiadać o swoich pomysłach. Ostatnie lata, kiedy co drugi miesiąc [teraz co trzy – przyp. red.] trzeba było przygotować nowe wydanie pisma były wyjątkowo gorączkowe, czasem nawet szalone, ale zawsze niesamowicie ciekawe i dające frajdę – mam nadzieję, że w równym stopniu dla czytelników, jak i Naczelnego.

Z Martinem Collomsem rozmawia Wojciech Pacuła

Wojciech Pacuła: Powiedz mi proszę parę słów o „HIFICRITIC” i o pozycji pisma na brytyjskim rynku.

Martin Colloms: „HIFICRITIC” jest kolorowym magazynem, drukowanym na wysokiej jakości papierze, zajmującym się opisem reprodukcji dźwięku stereo z różnorodnymi, inteligentnymi tekstami pisanymi przez ekspertów oraz entuzjastów z branży audio – w tym, popartymi pomiarami, testami sprzętu. Nie cenzurujemy żadnych tekstów. Pomimo to znani producenci okazują nam zaufanie i wypożyczają swoje produkty. To, m.in. MSB, Wilson Conrad Johnson, Avalon, Audio Research Corporation, Raidho, PMC, Martin Logan, Franco Serblin, Sonus faber, B&W, Krell, KEF, Monitor Audio, Tannoy, AMR, Music First, Musical Fidelity, Townshend, Audio Note, Dynavector, Koetsu, Miyabe, Roksan, Arcam, Meridian, Robert Koda, Continuum, Lyra, Eminent, Nu Force, Pioneer, dCS, etc.

WP: Jaki jest obecnie nakład pisma?

MC: Mamy około 2000 czytelników, ale sporo pojedynczych wydań czytanych jest przez większą liczbę ludzi. Nasza strona odnotowuje 1000 wizyt (bez odrzucenia), a i forum „HIFICRITIC” ma się całkiem dobrze.

WP: W jaki sposób wystartowałeś z „HIFICRITIC”?

MC: Wydawanie pisma wymaga spełnienia kilku wymogów. Jednym z nich jest wyliczenie odpowiedniej marży, a także przekroczenie opłacalnej ilości kopii, powiedzmy, 10 000. Żeby uzyskać odpowiednią marżę druk pisma oraz koszty jego przygotowania muszą być w znaczącej większości pokrywane przez reklamy, a żeby uzyskać reklamy musisz zatrudnić menedżera, specjalistę od reklam. Żeby wystartować z tego typu pismem musisz mieć ok. 100 000 £, a to naprawdę duże ryzyko, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę kurczący się rynek, zarówno samego hi-fi, jak i pism audio. No i musisz być miły dla reklamodawców, inaczej polegiesz. Chcieliśmy pisać opinie i recenzje wolni od jakiegokolwiek presji, dlatego musieliśmy opracować model pisma, które nie wymagałoby reklam i menedżera od nich. Jediną możliwą odpowiedzią było policzenie kosztów tak, aby wydawanie pisma pokryły pieniądze z prenumeraty, było pismo bez żadnych reklam.

Koszty produkcji, artykułów, ich redakcji, testowania, zarządzania prenumeratą, wysyłek itp. musiały być tak policzone, aby zawarły się w cenie prenumeraty. Zaryzykowałem i wystartowałem z pismem, na początek drukując 5000 sztuk – od tamtej pory mam wystarczająco wielu prenumeratorów, żeby to się opłacało.

Rozpoczynaliśmy jako dwumiesięcznik, jednak okazało się to niewykonalne – zarówno ze względu na koszty, jak i możliwości „produkcyjne”. Żeby więc zaoszczędzić na kosztach druku i wysyłek zwiększyłem ilość recenzji, a co za tym idzie stron, i publikuję „HIFICRITIC” raz na kwartał. Jak na razie się to sprawdza. Przekazałem wcześniej tę propozycję obecnym czytelnikom i otrzymałem tylko jedną odpowiedź odmowną.

WP: Powiedz jeszcze więcej o tym, czym twoje pismo różni się od innych magazynów tego typu – poza brakiem reklam.

MC: „HIFICRITIC” ma znacznie większą ilość stron poświęconych artykułom, jest pisany w inteligentny sposób, z komentarzami ekspertów i ludzi z branży. W każdym wydaniu naszego kwartalnika jest więcej treści niż w wielu miesięcznikach przez dwa lata. Nie znam się za bardzo na zagranicznej prasie audio, ale bardzo szanujemy to, co robią w „Stereophile’u”, dlatego opublikowaliśmy długi wywiad z jego naczelnym, Johnem Atkinsonem.

WP: Znasz jakieś inne pismo działające podobnie jak „HIFICRITIC”, bez reklam?

MC: Z tego, co wiem, jesteśmy jedynym drukowanym, kolorowym magazynem tego typu.

WP: Czym rynek brytyjski różni się od reszty świata? MC: Ciężko powiedzieć... Jesteśmy bardziej sceptycznie nastawieni do świata i wierzymy w to, że wypracowaliśmy znacznie wyższe standardy krytycznej oceny; mamy długą tradycję neutralnego, wiernego dźwięku, dobre podstawy.

WP: Wierzysz w „narodowy” dźwięk?

MC: Niespecjalnie – najlepsi projektanci dążą do wspólnego celu, jakim jest dźwięk naturalny. Ale w tańszych produktach rozróżniało się kiedyś „narodowy” charakter, np. produkty z Wielkiej Brytanii były „chłodniejsze”, z Francji „jaśniejsze”, z Niemiec „namacalne”, dźwięk tych z USA był „większy”. Ale to uproszczenie – hi-fi jest teraz międzynarodowe.

WP: Jaką masz metodologię testowania?

MC: Polegam na wieloletnich punktach orientacyjnych, czy też referencjach, które pomagają w porównaniach i ocenie dźwięku. A to po to, abym był w stanie określić procentowy przyrost jakości ponad wynik, jaki kiedyś osiągnęła referencja. Ważna jest szczególna ostrożność w układaniu systemu i jego zestawienie po to, aby mieć pewność, że rozumie się i panuje nad możliwie dużą ilością zmiennych.

WP: Co myślisz o współczesnym audio – jakieś przemyślenia?

MC: Ilość wysokiej klasy systemów stereo się zmniejsza – ludzie mają mniej pomieszczeń, często bez pokoju „muzycznego”, nie ma miejsca na dobrą instalację stereo. Coraz trudniej o oddzielne elementy stereo, pieniądze idą teraz na iDocks z łączami Bluetooth i Airplay. Ale entuzjazm co do stereo wciąż jest wysoki, szczególnie wśród tych, którzy kochają wysokiej jakości muzykę.

WP: Jak postrzegasz magazyny internetowe? Okazja? Ślepy zaułek?

MC: Specjalistyczne webziny trudno się finansuje. Nasza strona internetowa służy tylko do promocji drukowanej edycji, ale sama by się nie utrzymała. Tylko kilku czytelników, może z dziesięciu, spytało o to, czy będziemy wydawać magazyn w formie e-mag. Takie przeladowywanie na stronie sporo kosztuje i prawdopodobnie obecnie nie ma to sensu. No i jeszcze jest problem, że zawartość można łatwo spisać.

WP: A co z innymi pismami internetowymi – chodzi mi o to, co w nich tak interesuje czytelników, że czytają je z takim zainteresowaniem? Darmowy dostęp?

MC: Ludzie przyzwyczaili się do darmowej zawartości w Internecie i najczęściej nie są zbyt roztropni w swoich wyborach. Czytamy przecież opinie co do rzeczy, w których nie jesteśmy specjalistami. A darmowe opinie różnią się jakością. Doświadczeni czytelnicy najczęściej są w stanie rozróżnić między tymi, którzy coś wiedzą i tymi, którzy nie wiedzą nic. Webziny to szybki „skok” na tekst, a dobre magazyny drukowane to czytanie bez pośpiechu, znacznie bardziej uważne.

WP: Czy mógłbyś wymienić zalety i wady drukowanych magazynów?

MC: Wśród zalet wymieniałbym piękne zdjęcia testowanych urządzeń, ładny layout, łatwą archiwizację, można je czytać kiedy tylko mamy na to ochotę. Wśród wad, jak dla mnie, wymieniałbym potrzebę ich wysyłki, trzeba je gdzieś składować, a koszty druku oraz przesyłek wciąż rosną...

WP: A co z zawartością? To znaczy, co drukowane pisma robią lepiej niż internetowe, a co gorzej? Jest jakakolwiek różnica między tymi dwoma drogami dystrybucji?

MC: Trudne pytanie... Nie mam zbyt wielu informacji na ten temat, chociaż... Jak dotąd dobre drukowane pisma wciąż są na rynku, więc coś muszą robić dobrze. A widzieliśmy sporo upadków pism internetowych.

WP: Czy myślisz, że renesans płyty winylowej ma stałą tendencję wzrostową, czy to zwykła ściema?

MC: Myślę, że ten rynek będzie się rozwijał, ale nie w sposób wykładniczy; pozostanie po prostu kolejnym elementem specjalistycznego rynku audio. Winył, jeśli jest dobrze przygotowany i odtwarzany, może być znakomitym medium, może być bezkonkurencyjny w odtwarzaniu starszych nagrań. Ostatecznie liczy się muzyka, a nie sprzęt.

WP: Jakiej muzyki słuchasz najczęściej?

MC: A, sporo – od Bacha do Reicha, od Mozarta do Glassa, od Floydów i Dire Straits do Hendrixa i Stinga, od Jarretta do Garbarka, od Grusina do Coldplay, od Mitchell do Claptona, od Anderson do KLF.

WP: Czy wysokiej rozdzielczości PCM to przyszłość audio?

MC: Częścią tej przyszłości; większość audiofilskiej muzyki, a także najlepsza zarejestrowana muzyka są analogowe, albo istnieją w formie Red Book i są przeniesione z analogu. Niewielka ilość materiału została przetransferowana do wysokiej rozdzielczości, jest też trochę muzyki oryginalnie nagranej w wysokiej rozdzielczości, ale to wciąż znikomy procent tego, co jest dostępne.

WP: Jest jeszcze jakaś przyszłość przed CD?

MC: Tak, tak, tak! To trwałe, długowieczne medium, z którego można uzyskać bardzo dobry dźwięk. No i płyt u ludzi są miliardy. Ich odtwarzanie wciąż jest poprawiane, jak również brzmienie dobrych nagrań z CD. Płyta CD pozostanie z nami równolegle z zagęszczającym się polem Network Audio.

WP: No właśnie – Network Audio?

MC: Przyszłość otwiera się właśnie przed audio przesyłanym w domowej sieci (Network) z szeroką gamą plików w różnej rozdzielczości, zależnej tylko od źródła. Wszystkie rozdzielczości, w tym ripy o jakości CD, brzmią naprawdę dobrze, choć wersje hi-res, jeśli są dostępne, je prześcigają. Jeśli tylko masz system sterowany z jakiejś aplikacji, już od tego nie odejdziesz!

WP: Co wpływa na dźwięk systemów typu Network Audio?

MC: Wydaje się, że wszystko: kable, zasilanie, HDD, SSD, procesor w NAS-ie, router, odtwarzacz plików (streamer) i przetworniki D/A – po prostu jak w systemie analogowym! I, jak zwykle: nie można brać niczego za pewnik.

WP: Co myślisz o górnym limicie plików hi-res na poziomie 24/192 – jest wystarczający?

MC: Myślę, że to więcej niż nam potrzebne. To, co trzeba poprawić, to techniki cyfrowego i analogowego filtrowania... I musimy mieć pewność, że sekcja ADC i DAC jest prawdziwie hi-fi, a nie zwykły mikroczip zasilany z lokalnego zasilacza impulsowego 3 V...

WP: A co myślisz o plikach DSD?

MC: Czyste DSD może być bardzo dobre, niemal tak dobre, jak taśma-matka. Niestety SACD w komercyjnym wydaniu nigdy nie osiągnęło tych standardów. Mam taki generalny problem z obróbką dźwięku o niewielu bitach i z wysoką częstotliwością próbkowania – myślę, że tego typu nagrania mają problem z rytmem i timingiem, a i dynamiką; choć lubię ich przejrzystość.

WP: Jakość kabla USB robi jakąkolwiek różnicę w dźwięku?

MC: Tak, każdy kabel wnosi zmianę, nawet jeśli chodzi jedynie o to, w jaki sposób przesyłane są między urządzeniami wibracje, czy zakłócenia RFI. Poza tym liczą się także interferencje między żyłami wewnątrz kabla. W sieci mamy sporo szumów i nawet one korzystają na zaekranowaniu. Zmiany spowodowane szumem nie są tak duże, jak w przypadku jittera, ale też trzeba je brać pod uwagę.

WP: Myślisz, że bezprzewodowe przesyłanie dźwięku wysokiej rozdzielczości jest jakąś sensowną alternatywą dla kabla?

MC: Nigdy nie mów nigdy – postęp w konstrukcjach czipów łączności bezprzewodowej jest nieubłagany, a ośmiokanałowe czipy 16/44 wreszcie się pojawiają; można je będzie wówczas zagospodarować i zmusić do przesyłania sygnału 24/192. Dla mnie powodem do troski są lokalne zakłócenia wprowadzane przez nadajniki i odbiorniki do systemów audio.

WP: Dziękuję za rozmowę.

MC: Ja również.